Grudzień 2014

MAMMUTHUS MONTANUS

ssp. harnasiensis

208

PODORGAN MAMUTÓW SKPG „HARNASIE"

WAKACJE W IRLANDII

czyli jak się jeździ po lewej stronie.

Jako cel wakacji w 2014 r. wybraliśmy Irlandię. Zasadnicze powody były dwa, po pierwsze jeszcze nigdy tam nie byliśmy, po drugie najwyższy szczyt Irlandii ma tylko nieco powyżej 1000 m n.p.m. co przy pomysłach naszego starszego syna Michała dawało duże szanse przeżycia (n.p. w przypadku pomysłu, że fajnie byłoby pojechać do Gruzji, Michał od razu uznał, że najlepiej zacząć od Kazbeka).W lipcową niedzielę ruszyliśmy przez Niemcy i Belgię do Calais. Na tej części trasy samochody jeszcze nie jeździły pod prąd więc generalnie poza odstaniem swojego w dwóch korkach droga przebiegała standardowo.

We wtorek rano, po przeprawie promowej nareszcie jakaś odmiana, czyli możliwość bezpośredniego skrętu na rondzie w lewo (kiedyś widziałem filmik z kursantką nauki jazdy, która to samo chciała zrobić bodajże w Zabrzu, ale instruktor zaoponował). Po paru kilometrach okazuje się, że tak naprawdę jedyną uciążliwością jest to, że samochody nadjeżdżające z tyłu w prawym lusterku widzi tylko pasażer. Bezstresowo dojechaliśmy do Stonehenge, które w lejącym deszczu zrobiło na nas wrażenie uporządkowanej kupy kamieni. Wieczorem w Walii udało nam się jeszcze zobaczyć jak chłopaki z Sośnicy i Opola spuszczają manto Brazylii 7:1. Po czym w środę koło południa dotarliśmy na przeprawę w Holyhead. Po przeprawie do Dublina uznaliśmy, że miasto może fajne, ale góry na południe jeszcze fajniejsze i pojechaliśmy na nocleg w okolicy opactwa Glendalough, w górach Wicklow.

Następnego dnia zwiedzamy ruiny opactwa, moim zdaniem najładniejsze w Irlandii. Pierwotne opactwo zostało założone przez św. Kevina, który podobno początkowo mieszkał w dziupli. Ruiny pochodzą z X – XII wieku. Ich obecny stan jest efektem „prac rozbiórkowych" prowadzonych w różnych okresach przez Wikingów, Normanów i Anglików. Pomimo to, okrągła wieża i kaplica zwana Kuchnią św. Kevina ostały się w stanie wyjątkowo dobrym. A wszystko położone w górskiej dolinie z dwoma jeziorami.

Po zwiedzeniu opactwa poszliśmy na krótką wycieczkę w góry, która była poglądową lekcją na temat szybkiej zmiany pogody na wyspie położonej blisko Atlantyku. Możemy zapewnić, że klimat Beskidów i Tatr cechuje się naprawdę stabilną i mało zmienną pogodą. Po drodze Michał wyszukiwał jeszcze jakieś problemy wspinaczkowe (fakt, że ściany miały do 2,5 metra, ale zawsze coś).

Ponieważ jednak zmienność pogody następuje w różnych kierunkach, to po południu udało nam się jeszcze zwiedzić neolityczny grobowiec Browne's Hill koło Carlow – podobno sprzed 4500 lat. Chłopcy uznali, że grobowce są na tyle interesujące, że jak następny raz wpadniemy na pomysł, żeby jechać do jakiegoś 70 kilometrów, to oni chętnie zostaną na miejscu. Piątek upłynął nam z kolei na zwiedzaniu okolic Dublina tj. wzgórza Tara oraz grobowców korytarzowych Newgrange i Knowth. Ten pierwszy ma 85 m. średnicy i 11 m. wysokości, a kamienie, z których jest zbudowany ważą ponoć 200 000 ton. Drugi jest nieco mniejszy, ale za to bardziej oryginalny. Wszystko nieźle zorganizowane, ale jednak trochę jak nowy zamek w Inwałdzie, wygląda na stare 4500 – 3000 lat p.n.e, a właściwie zbudowane 50 lat temu.

W sobotę zaliczyliśmy dwa zamki – Cashel na skale i Caher nad rzeką. Tu z kolei Jola uznała eksploracje zamków Irlandii za zakończoną. Pod wieczór zwiedzamy kompleks klasztorny Ardmore z ruinami katedry św. Declana. Oprócz katedry w kompleksie znajduje się oczywiście okrągła, obronna wieża. To taka powszechna w Irlandii pozostałość po czasach skandynawskiej turystyki z początku poprzedniego tysiąclecia. Miejscowi w kamiennych wieżach z wejściem na poziomie trzeciego piętra starali się doczekać zmiany turnusów u Wikingów.

W niedzielę, po tygodniu od wyjazdu, dotarliśmy wreszcie na zachodnie wybrzeże. Po drodze zwiedziliśmy jeszcze dwa kręgi kamienne uznając, że następne możemy spokojnie obejrzeć na zdjęciach.

Płd. zach. wybrzeże Irlandii, to pięć półwyspów. Pierwszy z nich Mizen zakończony jest kapitalnie położoną latarnią morską, w której działał niejaki Marconi – ten od radia. Po krótkiej wycieczce po latarni i okolicy uznaliśmy, że pozostałych półwyspów w żadnym wypadku nie możemy sobie odpuścić. Bieszczadzki krajobraz nad oceanem, to jest to (naszym zdaniem w Irlandii wyższość przyrody nad tym co stworzyła rasa ludzka jest oczywista). Następne dni upłynęły nam na zwiedzeniu kolejnych półwyspów. Niestety nie powiodła się próba przejechania się kolejką linową łączącą płw. Bear (trzeci od południa) z sąsiednią wyspą. Ale i tak krajobrazy – i o dziwo pogoda – wynagrodziły nam brak możliwości sprawdzenia po co w kolejce jest biblia (podobno dla wątpiących, że tym razem też się uda).

W czasie objazdu tzw. pętli Kerry (kolejny, chyba najbardziej znany półwysep) najpierw na parkingu jedna z Niemek, atakuje maskę naszego samochodu. I tak miała szczęście, bo gdyby nie maska, to zaatakowałaby z metra glebę. Maski: samochodu i Niemki wytrzymały zderzenie, poduszki nie uruchomiły się (chyba, że u Niemki). Później odstajemy swoje przy wyjeździe z parkingu, bo Niemki pożyczonym samochodem z kierownicą z prawej strony i dźwignią zmiany biegów z lewej nijak nie potrafią włączyć się do ruchu w prawo (akurat w Irlandii to nieco trudniejsze). W czasie przerwy w jeździe idziemy na dwie krótkie wycieczki na wyspie Valentia. Pierwsza, to lekcja z widoków na okolicę, w tym miejscowość na przeciwnym brzegu z kolorowymi domkami – podobno te kolory, to pozostałość po czasach kiedy najpierw malowało się statek, a tym co zostało – dom. Druga wycieczka, to głównie widok mgły oraz doświadczalne sprawdzenie jak mocno może wiać nad oceanem – rzeczywiście dość mocno.

Odmianą w objeżdżaniu kolejnych pętli na półwyspach była wycieczka na najwyższy szczyt Irlandii Carrauntoohil. Na parkingu tradycyjnie dzielimy się na dwie grupy, Michał ubiera się do biegania (taka nowa moda – po co chodzić po górach, skoro tę samą trasę można przebiec), a ja z Jolą i Łukaszem na wycieczkę. Dla pewności kupuję jeszcze Michałowi dokładniejszą mapę – 1:25000, a sami zostajemy z „50-tką", co jak się okaże, będzie miało pewne konsekwencje.

Góra ma wprawdzie 1039 m n.p.m. ale startujemy ze 150 m. więc generalnie jest gdzie podchodzić, tym bardziej, że z doliny na grzbiet wychodzi się usypującym się żlebem. Tak, tak żlebem, bo góry przypominają Tatry Zachodnie (tak twierdzi Kajetan, a On wie co mówi), a nie jakby wskazywała wysokość okolice Klimczoka i Szyndzielni. Po drodze z przełęczy na szczyt stwierdzam jeszcze, że wysokość ma jednak znaczenie, bo pomimo, że krajobraz jak dwa lata temu w Pirenejach, to te dwa kilometry powietrza więcej nad nami powodują, że idąc dość szybko mam kłopot … żeby się zmęczyć, a w Pirenejach takich zmartwień nie miałem. Na szczycie dostaję sms od Michała, który zbiegł ścieżką z drugiej strony szczytu, twierdzi, że ta droga w zejściu jest lepsza, choć są dwie ścianki po drodze. Tyle tylko, że akurat tej drogi nie ma na mojej mapie, a znakowanie szlaku skończyło się wraz z wejściem w żleb. W związku z tym uznaję, że skoro ścieżki nie ma na mapie, to tym lepiej, bo nie będę musiał sprawdzać z mapą czy dobrze idziemy. Po zejściu dość stromym grzbietem na przełączkę widać w dole ślady ścieżki (raczej skromne) i owce nad jeziorkiem. Skoro owce tam wlazły, to znaczy, że ścieżka jest OK. I była, tylko okazało się, że górna część doliny zakończona jest całkiem niezłym progiem. Jola proponuje wariant beskidzki czyli na wprost – w końcu jesteśmy na ok. 700 metrach. Mnie pomysł wydaje się wprawdzie ciekawy, ale mam wrażenie, że owce tamtędy raczej nie weszły, bo ścianki na oko mają po 2 metry (z dołu okazało się, że więcej). Niewyraźną ścieżką docieramy do niższej części doliny jeszcze tylko dwie ścianki, o których pisał Michał i ścieżka uznała, że w samej dolinie nie jest do niczego potrzebna. Trochę by się przydała, bo dolina okazała się nieco podmokła i w związku z tym mieliśmy okazję pochodzić po podmokłej łące. Tego Michał nie opisał w sms – widocznie jak biegł, to nie zauważył. Po ponad pięciu godzinach docieramy do parkingu, na którym Michał już się nudził. Wieczorem bieg i swoją autorską dietę (dużo picia mało jedzenia) Michał podsumowuje małymi wymiotami, ale dochodzimy do wniosku, że człowiek najlepiej uczy się na własnych błędach, więc takie doświadczenie się przyda.

c.d str. 2

Następnego dnia jedziemy na ostatni z półwyspów – Dingle. W czasie objazdu zaliczamy kąpiel w Oceanie. Woda ciepła jak w Bałtyku, fale 3, 4 razy takie. Odwiedzamy Kaplicę Gallarusa czyli kościółek, który nie przypomina żadnego z wcześniej widzianych. Jeszcze tylko miasteczko Dingle z oceanarium i po czterech dniach kończymy zwiedzanie półwyspów.

Płd. zach. wybrzeże Irlandii – półwysep Mizen.

Po noclegu kierujemy się w stronę klifów Moheru. Od razu po wyjechaniu z dróg na szerokość dwóch samochodów czuję się jak w domu. Przez te kilka dni mijanie z samochodami z przeciwka zwykle oznaczało całkiem konkretny dźwięk rysowania gałęzi na lewej burcie. A tu dwa pasy, pobocze i taki sobie ruch, a jeszcze do tego pogoda, która założyła, że ma padać wtedy kiedy jesteśmy w samochodzie, a nie na zewnątrz. Ponad dwustumetrowe Klify Moheru niewątpliwie robią wrażenie. Trochę przeszkadza pełna komercja, to jedno z dwóch miejsc w Irlandii gdzie było naprawdę dużo turystów, choć wystarczy odejść około 2 kilometrów w każdą stronę i robi się naprawdę fajnie tzn. klify są, ludzi mniej.

Wiatr od morza na Kerry.

Jadąc na północ zwiedzamy płaskowyż Burren, o pustynnym krajobrazie – w dodatku z grobowcem megalitycznym (trochę nam już tego brakowało). Płaskowyż, to obszar krasowy porośnięty rzadką roślinnością.

Kaplica Gallarusa.

Ponieważ klifów nigdy dosyć, kolejny dzień poświęcamy na dotarcie do najwyższych podobno klifów w Europie – Slieve League. Po drodze odwiedzamy okolice Ben Bulben, które przypomina trochę nasze Góry Stołowe. Krótka wycieczka ma na celu przypomnienie jak szybko zmienia się pogoda, tym razem nie dobiegliśmy do samochodu przed deszczem. Klify Slieve League zwiedzamy w mglistej pogodzie. Ludzi mało, trochę wieje czyli moim zdaniem naprawdę fajnie (znajomi nie podzielają zwykle mojego zachwytu nad taką pogodą, ale tym razem podoba się wszystkim).

W sobotę rano opuszczamy Republikę Irlandii i wjeżdżamy do Irlandii Północnej. Żadnego znaku przekroczenia granicy, nawet tabliczki jak na granicach wewnątrz strefy Schengen. Chyba tak wygasili konflikt. Irlandczycy z południa nie widzą granicy, więc tak jakby cała wyspa była ich. A ci z północy mają mile na tablicach i funty w kieszeni więc uznają, że są w United Kingdom i to im starcza. Zwiedzamy Ścieżkę Giganta – wybrzeże z 37000 sześciobocznych bazaltowych słupów. Wiszącą kładką Carrickarade przechodzimy z lądu na wyspę nad 25 metrami luftu. Wieczorem kierujemy się w okolice Belfastu na przeprawę promową.

W niedzielę rano opuszczamy Irlandię i pomału kierujemy się w stronę domu. Jeszcze po drodze zwiedzamy Londyn, w tym – szukając najbliższej stacji metra – dzielnicę Est Ham. Tak sobie wyobrażam Harlem w Nowym Jorku. Pełen przegląd ras ludzkich, okna domów malowane ostatni raz po nalotach w czasie bitwy o Anglię, firanki zmienione na koronację Elżbiety II. Na szczęście pozostałe dzielnice nie są aż tak oryginalne, a Greenwich wręcz urokliwe.

Wreszcie w Calais znowu wracamy na właściwe tory tzn. na właściwą stronę drogi. W Brugii ćwiczymy rozbijanie namiotu o pierwszej w nocy – podobno nie było wolnych miejsc, ale daliśmy radę. Zwiedzanie Amsterdamu kończymy błyskawicznie na parkingu pod stadionem. Łukasz informuje, że czuje się słabo i niekoniecznie ma ochotę sprawdzać w metrze jak bardzo jest mu słabo i dlaczego go mdli. Jedziemy więc na nocleg.

Chcieliśmy jeszcze w drodze powrotnej odwiedzić park rozrywki (taka nowa świecka tradycja – pamiątka wyjazdu ze znajomymi), ale pogoda w Holandii uznała, że ma padać więc darowaliśmy sobie tradycję.

Jeszcze tylko przejazd archaicznymi niemieckimi autostradami (po przejechaniu całych Niemiec na granicy okazało się, że średnia na autobahnie wychodzi 70 km/godz.) i wreszcie w Świecku porządna nowa autostrada. Zanocowaliśmy w Zielonej Górze. Rano nie znajduję chętnego na spacer po mieście więc idę sam. A potem jeszcze tylko 3 godziny i jesteśmy domu.

Sławek Nowicki

TO BYŁO

✔ 06-07.12 Mikołajki kołowe w chatce na Lasku zdominowane były przez nowy kurs, ale byli też przedstawiciele starego kursu oraz harnasi zarówo młodszych i starszych pokoleń. W sumie było ok. 30 osób. W Mikołaja wcielił się Prezes, a granie i śpiewanie trwało do godziny 5 rano.

✔ 9.12 Prelekcja „Gliwice i Katowice – zapomniane górskie schroniska w Alpach" przedstawiona przez członków katowickiej sekcji DAV m.in. Agnieszkę Widak.

✔ 16.12 Wigilia kołowa odbyła się w tym roku w lokalu KW – dawnym miejscu naszych zebrań i zgromadziła spore grono Harnasi i kursantów.

✔ 20-21.12 Bacowanie Przedświąteczne odbyło się w tym roku na Jasieniu. Ustalono ponadto, że aby skończyć z problemem wyboru miejsca bacowania można przyjąć nową świecka tradycję i w lata parzyste bacować na Jasieniu, a w nieparzyste na Cudzichowej.

Na tegorocznej imprezie było 16 osób. Pogoda w sobotę była typowo jesienna, ale w nocy sypnęło śniegiem i wreszcie zrobiło się zimowo.

TO BĘDZIE

❖ 10-11.01.2015 przejście kondycyjne kursu – rejon i meta jak zwykle do końca nieznane.

Grupa bacowników przedświątecznych na Jasieniu: Asia i Marek, Makak i Mroku, Asia Ś., Ola G., Metzger, Iwona F., Jola G., Nowy, Żaba, Agata K., Waldek K., Staszek W., u dołu – Nowszy i Jacek G.